

Zakamarki pamięci - wspomnienie o Marku Hłasce



Marek Hłasko, 1958 r. fot. Getty Image

Piotr Guzy (1922-2018)

Hiszpania

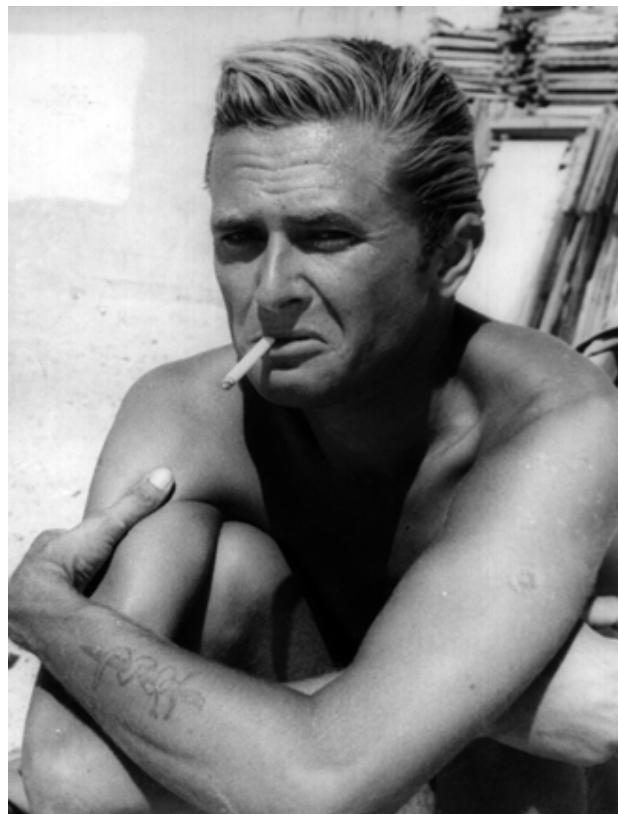
Mieszkalem w tym czasie w Monachium, pracowałem w rozgłośni polskiej radia Wolna Europa. Partie poniższego tekstu są częściowo przepisane z prowadzonego wówczas dziennika.

Pod datą 16 czerwca 1969 zapisałem: Od trzech tygodni czekałem codziennie na telefon od niego, dzwonek przy drzwiach: może on? Na ulicy rozglądałem się uważnie, może go gdzieś spotkam? Trzy tygodnie temu wspólny znajomy powiedział mi, że była żona Marka, znana aktorka filmowa, Sonja Ziemann doniosła mu, że Marek wrócił z Ameryki i razem zamieszkają na kilka miesięcy w Monachium, gdzie bodaj Sonja miała kręcić jakiś film. Pytałem, czy wie z jakiego hotelu dzwoniła, nie wiedział. Zastanawiałem się, czy nie dzwonić po hotelach,

szukać go, ale to jak igła w stogu siana.

Rano zadzwonił Wiesio Piekarczyk, że Marek nie żyje, umarł w sobotę (14 czerwca) w Wiesbaden, okoliczności nieznane, wyklucza się możliwość morderstwa. Wstrząśnięty bólem - płakałem. Przez uchylone drzwi zobaczyłem tego ubeka z parteru, jak szedł chodnikiem. Takie skurwysyny żyją, a taki piękny człowiek, jak Marek, umiera w szczenięcym wieku 35 lat. Przez cały dzień byłem przybity, milczałem, słowa nie potrafiłem z siebie wydusić, miałem ciśnienie w piersiach.

Po południu Wiesio zadzwonił z dalszą wiadomością: Marek umarł na skutek zażycia tabletek nasennych w pijanym widzie. Nie wiadomo kiedy będzie pogrzeb, przypuszczam, że pojutrze, bo jutro jest święto jedności (rocznica wybuchu powstania w Berlinie wschodnim w roku 1956) - pojadę. Tak czekałem na niego, tak chciałem się z nim spotkać, może by nie doszło do tej głupiej, niepotrzebnej śmierci. Byliśmy z tego samego pokolenia literackiego, poznaliśmy się bodaj w 1951 roku na zjeździe młodych pisarzy w Oborach. Jego śmierć to tak jakby ktoś okroił mnie o jakąś część mojego własnego ciała. Dopóki żył wiedziałem, że nie jestem sam, teraz - taka strata dla literatury. „Sowa córka piekarza” była najlepszą powieścią jaką dotąd napisał. Największy pisarz naszego pokolenia - miał przed sobą jeszcze 50 lat twórczości - mierzyłem się z nim, szukałem jego uznania. Pod wieczór poszliśmy z Ishbel (moją żoną) na piwo do Schwabinger Treffpunkt, cały czas miałem łzy w oczach. Skupiłem się w sobie metodą yogi i uspokoilem się na dobre. Wieczorem u Dobków, już mogłem spokojnie o nim mówić.



Marek Hłasko, fot. Archiwum Marka Hłaski

Przyszedł Czesio i powiedział, że pogrzebem Marka zajmuje się Bożekowski - dał mi jego telefon - dowiem się szczegółowo, jeśli nie ma jeszcze pasażera na wolnym miejscu w jego wozie, to może mnie zabierze.

Bożekowski będzie jutro rano dzwonił na policję w Wiesbaden, dowie się kiedy będzie pogrzeb. Niestety mnie nie będzie mógł zabrać, bo Barbara Nawratowicz już wczoraj prosiła, żeby ją wziął ze sobą. Nic nie szkodzi, pojedę pociągiem.

Spałem w ubraniu na tapczanie w moim gabinecie. Zadzwoił telefon: Bożekowski. Byłem kompletnie pijany, przerwa w życiorysie, nie rozumiałem co się stało. Potem Ishbel opowiedziała: wieczorem poszliśmy do Schwabinger Treffpunkt na piwo, dołączył do nas ksiądz (duchowny opiekun pracowników radia), potem przyszli Wilczyńscy. Dalej chłanie, potem wróciliśmy wszyscy do nas, ksiądz przyszedł z Kazikiem Wilczyńskim, wypiliśmy prawie całą butelkę rumu austriackiego, hałasowałem na klatce schodowej i zbudziłem sąsiada, pana Bożeckiego. Po południu kupiłem bukiet kwiatów i zaniósłem z przeprosinami. Jeśli nie będę na siebie uważał, to zniszczy mnie alkohol.

Wyjazd z Bożekowskim do Wiesbadem. Jechaliśmy jego „proszą”, cały czas w deszczu, okropne.

Wzięliśmy pokój w hotelu Silvana na Kapellenstrasse 4, ja płaciłem: 100 marek plus 12 za telefon. W zachowanym do dziś dzienniku mam wklejony kwit. Sonja zatrzymała się w hotelu Schwarzer Bock, gdzie można brać kąpiele błotne.

Powiedziała nam przy pierwszym spotkaniu, że jeśli byłoby konieczne jechać taksówką, to mamy pamiętać, żeby od kierowcy wziąć pokwitowanie. To się jej przyda przy obliczaniu podatku dochodowego. Powiedziałem, że z całą pewnością tak uczynimy. Już rozwiedziona z Markiem, ale tu na jego pogrzebie występowała jako *ehemalige Frau Marek Hlasko*. Sonja od stóp do głów przebrała matkę Marka, panią Marię Gryczkiewicz, gdy ta tu przyjechała. Miała ją u siebie w pokoju, dzwoniła do najbardziej wykwintnego składu w mieście i kazała przynieść wyszczególnione artykuły damskiej odzieży. Jeżeli coś nie pasowało, zwracała i przynosili nowe.



Marek Hłasko z żoną, niemiecka aktorką Sonją Ziemann, fot. East News.

20 czerwca, pogrzeb Marka na Sudfriedhof. Szedłem za trumną wiezioną na czterokołowej taczance. Sporo ludzi, przeważnie związanych z kinem, teatrem. Był Moll z wydawnictwa Kiepenheuer und Witch z Eriką, jego żoną, jakaś para aktorów, ona Niemka, on Holender, Bożekowski, no i ja. Myślę, że było w sumie jakieś dwadzieścia osób. Bardzo szybko spuszczone trumnę do wykopanego już dołu, zasypano ziemią, na górze zrobił się wcale pokaźny kopiec, na nim wieńce, dużo wieńców. Na ten kopiec rzuciła się matka Hłaski, pani Maria Gryczkiewicz, szeroko rozłożonymi rękami objęła grób, w potężnych spazmach łkała, płakała, całym ciałem zespolona z tym kopcem, rękami jakby rwała tarninę, jakby chciała dorwać się do samej ziemi, wniknąć do samej trumny, rozerwać ją, to było żenujące.

Wieczorem obiad w hotelu Schwarzer Bock, zaprosił nas Moll, był redaktorem utworów Marka w wydawnictwie Kiepenheuer und Witch, jego żona Erika, była też ta aktorska para holendersko-niemiecka, jeszcze kilka osób, potem wstaliśmy wszyscy od stołu i przeszli do baru, gdzie piliśmy do piątej nad ranem.

*

Moja teoria śmierci Marka była taka. Marek miał w Izraelu dziewczynę, Esther Steinbech(?), którą kochał. Były pogłoski, że miał z nią dziecko. W czasie fatalnej nocnej popijawy miał w kieszeni bilet lotniczy do Tel Awiwu. Miał tam lecieć następnego dnia. Zadzwoił do Sonji do Berlina, że na zlecenie telewizji niemieckiej będzie kręcił film w Izraelu. Sonja wiedząc, że Marek zamierza lecieć do Iraela, zadzwoniła do gospodarzy, żeby za żadną cenę nie pozwolić Markowi wyjechać, róbcie co chcecie, tylko żeby został u was, ja przylecę i będę na miejscu przed południem. A Marek pił, zresztą wszyscy pili, ale Marek pił najwięcej, bez umiaru. W takiej sytuacji ktoś mógł mu dać tabletkę nasenną, może dwie, włożyć do szklanki z alkoholem, by się upewnić, że zaśnie i będzie spał do czasu, gdy Sonja już tu będzie. Czy była obdukcja, nie wiem, ale chyba nie.

Opowiadała mi pani Maria, że poszła z Sonją na policję odebrać pozostałe po Marku dokumenty, paszport i w ogóle jego papiery. Otóż jak tylko te papiery znalazły się na powierzchni biurka, Sonja bardzo szybko złapała bilet i poleciała z nim do toalety, gdzie go zniszczyła.

I to byłoby wszystko co było - moim zdaniem - warte zapamiętania i zamieszczenia w prowadzonym wtedy, chociaż nieregularnie, dzienniku.

*

A z innej beczki: niecałe dwa tygodnie później amerykańscy astronauta Armstrong i Aldrin, na pokładzie statku kosmicznego Apollo Jedenaście, wylądowali na księżycu.